

Melmoth

SARAH
PERRY

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA WILGA

MARGINESY

Melmoth

COPYRIGHT © 2018 Aldwinter Ltd

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agnieszka Wilga

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
WARSZAWA 2023

Charles Robert Maturin

In memoriam

Umysł mój w piekle i w rozpacz nie wpadaj.

ŚWIĘTY SYLWAN Z ATHOSU

Drogi Przyjacielu,

ogromnie żałuję, że przyszło mi przekazać w Pana ręce ten dokument i uczynić Pana świadkiem moich czynów!

Wiele razy pytał mnie Pan: „Panie Josefie, co pan tam pisze? Czym się pan wciąż zajmuje?”. Drogi Przyjacielu, nie mogłem odpowiedzieć, bo trzymałem warte przy drzwiach. Obecnie jednak pióro moje wyszło, a drzwi stoją otworem i czeka za nimi coś, co zburzy resztki szacunku, jakim mógł mnie Pan darzyć. Jakoś to zniosę, bo przecież nigdy na szacunek nie zasługiwałem – lecz boję się o Pana, bo za tym progiem jest tylko jeden blask, znacznie bardziej przerażający od mroku...

Minęło dziesięć dni, a ja przez cały czas myślałem tylko o mojej winie, mojej winie, mojej bardzo wielkiej winie! Nie mogę spać. Czuję na sobie jej wzrok i obracam się z nadzieją i lękiem, ale przekonuję się, że jestem sam! Chodzę po mieście w ciemności i zdaje mi się, że słyszę jej kroki, aż bezwiednie wyciągam rękę – lecz ona już raz podała mi swoją i wątpię, żeby to się powtórzyło.

Powierzam ten dokument bibliotece z prośbą, aby go Panu przekazano, gdy tylko zasiądzie Pan przy swoim stoliku.

Proszę mi wybaczyć! Ona nadchodzi!

J.A. Hoffman

I

Spójrz! Nad zimową Pragę, matkę miast słynącą z tysiąca iglic, wzbija się noc. Spójrz w dół, na ciemność wokół twoich stóp, która zalega we wszystkich uliczkach i zaułkach jak miękki czarny pył zamiatany miotłą; spójrz na kamiennych apostołów na starym moście Karola i na błękitnookie kawki na ramionach Świętego Jana Nepomucena. Spójrz! Idzie mostem, z głową zwieszoną ku białawemu brukowi – Helen Franklin, czterdzieści dwa lata, nie za wysoka i nie za niska, o włosach nie za ciemnych i nie za jasnych, na nogach ma ciężkie buty, które jej służą od listopada do marca, a na nadgarstku stalowy zegarek po matce. Lśniący śnieg, suchy jak sól, opada na jej ramiona, na rękawy porządnego płaszcza przewiązanego paskiem i równie bezbarwnego jak ona sama, noszonego już dziewiąty rok. Przez jej pierś biegnie ukośnie wąski pasek torby, w środku spoczywa dzieło ostatniego popołudnia (instrukcja obsługi pralki, przekład z niemieckiego na angielski) oraz zielone jabłko.

Co mogłoby cię skłonić do zwrócenia uwagi na tak nijaką postać, gdy nad jej głową rozchodzą się niskie chmury, a z przechylonej czary srebrnego księżycy spływa do rzeki strumień mleka? Nic, zupełnie nic – poza jednym: te godziny, długie minuty krótkiego dnia to ostatnie chwile, w których nic ona nie wie o Melmoth – gdy grzmot wciąż jeszcze jest tylko grzmotem, a cień po prostu ciemną plamą na murze. Gdyby coś ci kazało teraz jej o tym powiedzieć (Zbliź się! Chwyć ją za nadgarstek i szepnij!), może zatrzymałaby się, pobladła i zdezorientowana utkwiała wzrok w twoich oczach, może spojrzalaby w górę, na oświetlony reflektorami zamek wysoko nad Wełtawą, i w dół, na białe łabędzie śpiące na brzegu rzeki, a potem obróciła się na niskim obcasie

i popędziła z powrotem, przedzierając się przez nadchodzący tłum. Och, ale to na nic – tylko by się beznamytnie uśmiechnęła, na wpół rozbiawiona (jak to ona), strzepnęła z siebie twój dotyk i dalej szła do domu.

Helen Franklin staje w miejscu, w którym most spotyka się z nabrzeżem. Tramwaje pędzą z turkotem w stronę Teatru Narodowego, gdzie w kanale orkiestry oboiści trzymają w ustach stroiki, a pierwsza skrzypaczka trzykrotnie uderza smyczkiem o pulpit. Już dwa tygodnie po Bożym Narodzeniu, lecz mechaniczna choinka na Rynku Starego Miasta wciąż jeszcze się obraca i po raz ostatni gra przyjemną melodię Straussa, a angielskie turystki dzierżą w dłoniach papierowe kubeczki z parującym winem. Ulicą Karola niesie się zapach szynki, palonego drewna i nabitego cukrem ciasta pieczonego nad rozżarzonymi węglami; sowa siedząca na czyimś osłoniętym rękawicą nadgarstku zostanie pochwalona za swoje upierzenie, a chwilę później ktoś za garść monet będzie mógł ją ostrożnie potrzymać. To wszystko teatralne dekoracje zawieszane na linach i bloczkach: przyjemne, gdy wieczorem człowiek chce ulec złudzeniu, ale nic poza tym. Helen nie ma złudzeń, nigdy ich zresztą nie miała – nie dla niej praskie rozkosze. Nigdy nie wpatrywała się w ruchome figurki na tarczy zegara astronomicznego, którego twórcy ponoć wykluto oczy, by nie mógł zhańbić miasta, konstruując wspanialszy zegar gdzie indziej; nie przeznaczala pieniędzy na zakup matrioszek w szkarłatnych barwach angielskiej drużyny; nie siedziała beczynnienie o zmierzchu nad brzegiem Wełtawy. Mając na sumieniu zbrodnię, za którą nigdy nie zdoła zadośćuczynić, skazała się na wygnanie, sama sobie będąc sędzią i ławą przysięgłych, i z własnej woli odbywa dożywotni wyrok.

Światło się zmienia, tłum napiera, a Helen, porwana przez tę huczącą falę, dobija do żeliwnej barierki i wyciąga rękawiczki z kieszeni. I wtedy właśnie słyszy – ponad gwarem zamożnych Koreańczyków zmierzających ku zacumowanym przy nabrzeżu statkom o miedzianych okuciach – swoje imię i nazwisko, unoszące się na wietrze, który wieje znad rzeki.

– Helen! Helen Franklin! – woła ktoś gorączkowo, jakby zgubiła portfel.

Kobieta podnosi wzrok, zasłaniając usta dłonią, i widzi stojącego nieruchomo w świetle latarni wysokiego mężczyznę bez płaszcza, w niebieskiej koszuli, który drży i przyciska do piersi spory ciemny przedmiot. Ich oczy się spotykają, ręka wyciąga się w górę.

– Tak? – pyta Helen nagle i niecierpliwie.

– Tak! Możesz tu podejść? Podejdz, proszę. – Mężczyzna szarpie materiał koszuli, jakby delikatny jedwab drażnił mu skórę; jego ciało gwałtownie się trzęsie.

– Karel – mówi Helen, ale jeszcze ku niemu nie rusza.

To Karel Pražan, stanowiący dokładnie połowę jej przyjaciół, poznany w kawiarni Biblioteki Narodowej Republiki Czeskiej pewnego ranka, gdy nie było już wolnych stolików. Wysoki, bardzo szczupły, ciemne, niezmiennie lśniące włosy, jedwabne koszule, buty zamszowe lub z gładkiej cielęcej skóry, zależnie od pory roku; nie jest przystojny, lecz sprawia takie wrażenie, zawsze też wygląda na świeżo ogolonego. Nawet jednak z tej odległości pośród przepychających się dzieci w kolorowych puchówkach można dostrzec ziemistą bledność cery i zapadnięte oczy człowieka, który źle sypia. Chłód oprószył jego wargi błękitem, ręka przyciskająca przedmiot do drżącej piersi znieruchomiła, jakby jej stawy całkiem zastygły.

– Karel – powtarza Helen i rusza niespiesznie w jego stronę.

Po dziesięciu krokach zauważa, że mężczyzna trzyma teczkę z szorstkiej czarnej skóry, przetartą na brzegach od zużycia i trzykrotnie owiniętą rzemieniem. W świetle latarni widać znak w rogu, lecz Helen nie może dostrzec szczegółów.

– Karel? Weź mój szal. Co się stało? Gdzie twój płaszcz? Nic ci nie jest? – Po chwili nachodzi ją rozsądniejsza myśl. – Czy to coś z Theą? – Wyobraża sobie jego partnerkę i zdecydowanie lepszą połowę, jak siedzi bez życia w wózku inwalidzkim w ich mieszkaniu na parterze, ze wzrokiem utkwionym w dal, gdzieś ponad gipsowym

sufitem, zabrana nocą przez kolejny zakrzep w mózgu, czego zawsze się obawiali.

– Thea? – Karel się niecierpliwi. – Co? Wszystko z nią w porządku. Nie, nie chcę. – Odpycha z rozdrażnieniem podawany mu szal i przygląda się jej, jakby nie potrafił stwierdzić, czemu zawraca mu głowę.

– Rozchorujesz się.

– Zabierz to! Nic mi nie będzie. Zresztą nieważne. Słuchaj, musimy gdzieś usiąść.

Rozgląda się, jakby zamierzał tak po prostu siąść ze skrzyżowanymi nogami na chodniku, po czym unosi skórzaną teczkę i nią potrząsa. Widać, że jest ciężka, pełna papierów i poplamiona wodą. Karel przesuwa kciuki i odsłania złożony monogram: *J.A.H.* Helen z niepokojem zauważa, że robi to z mieszaniną zachłanności i odrazy, jakby całe życie tej teczki pragnął, a gdy wreszcie zapłacił żadaną cenę, przekonał się, że ona cuchnie.

– To na nic. Będę musiał komuś powiedzieć, a ty jedna to zniesiesz. To znaczy... – Tu przerywa i wesoło się zaśmiewa. – Pewnie mogłaby do ciebie podejść i spojrzeć ci prosto w oczy, a ty i tak byś nie uwierzyła! W ani jedno słowo!

– Mogłaby? O kim ty mówisz, Karel? Zabrałeś tę teczkę komuś znajomemu? Nie powinieneś próbować swoich sztuczek.

– Och... – Robi się tajemniczy. – Sama zobaczysz.

I nagle rusza. Woła przez ramię, żeby za nim szła, jak do dziecka, i to nieznośnego. Helen podąża za nim brukowaną uliczką, pod kamiennym łukiem, który kryje się góra dziesięć metrów od turystycznego deptaka, lecz którego nie udałoby ci się znaleźć, nawet gdyby kiedyś przyszedł ci taki pomysł do głowy. Karel otwiera pchnięciem malowane drzwi i wślizguje się między ciężkie kotary chroniące wnętrze przed chłodem, a potem siada w ciemnym kącie i przywołuje Helen gestem. Lokal wygląda swojsko: zaparowane okna, zielone popielniczki, czterdziestowatowe żarówki w abażurach z zielonego szkła. Helen już

mniej się niepokoi. Siada obok przyjaciela (wciąż drżącego), zdejmuje rękawiczki i naciąga rękawy swetra na nadgarstki.

– Musisz coś zjeść – mówi, zwracając się w stronę Karela. – Zawsze byłeś zbyt szczupły, a teraz jeszcze bardziej wychudłeś.

– Nie chce mi się jeść.

– Niemniej jednak... – Helen wzywa gestem dziewczynę w białej koszuli i zamawia piwo dla Karela, a dla siebie zwykłą wodę z kranu.

– Pewnie myślisz, że mi odbiło – mówi Karel. Poprawia włosy, co jedynie pozwala zauważyć, że w ciągu tygodnia postarzał się o pięć lat: szczupła twarz zmizerniała, lekki zarost połyskuje siwizną. – No cóż, może i tak. Spójrz tylko na mnie! Nie mogę spać, zresztą chyba widać. Siedzę i czytam, wciąż na nowo... Nie chciałem przeszkadzać Thei, więc czytałem pod kołdrą. No wiesz, przy latarce. Jak uczeń.

– A co czytasz?

Na stole pojawia się piwo i woda z pojedynczą kostką lodu.

– Pyta, co czytam! Żadnych zbędnych słów. Cała ty. Od razu mi lepiej, to oczywiste! Przy tobie to wszystko zdaje się dziwną fantazją. Jesteś tak zwyczajna, że przez samo twoje istnienie wszelka niezwykłość zdaje się niemożliwa. Potraktuj to jako komplement.

– Jasne. Powiedz w takim razie... – Helen przesuwając szklankę dokładnie na środek papierowej podkładki. – Powiedz przynajmniej, co czytałeś. Może to, co masz w tej teczce?

– Tak. – Karel potrząsa papierosem Petra; za trzecim razem udaje mu się go zapalić. – Weź ją. No już, otwórz.

W jego spojrzeniu czai się coś niemal złośliwego, jak u dzieciaka częstującego cukierkami z torby, do której powrzucał pająki. Helen wyciąga rękę po teczkę (jest lodowata, jakby przejęła więcej chłodu z nocnego powietrza, niż powinna) i z trudem mocuje się z ciasno zacisniętym rzemieniem, który jest splątany i pełen supłów, lecz w końcu nagle nieoczekiwanie ustępuje – teczka się otwiera i na stolik wypada plik pożąłkłych papierów.

– Proszę! – woła Karel. – Proszę!

Wbija w kartki palec wskazujący, po czym odsuwa się i opiera o ścianę.

– Mogę popatrzeć?

– Jeśli chcesz... Ale czekaj, czekaj... – Drzwi nagle się otwierają, a pluszowe zasłony wydymają się na wietrze. – Czy to ona? Już przyszła? W i d z i s z j ą?

Helen się odwraca. Do lokalu wchodzi dwóch wyrostków, góra osiemnastoletnich, puchnących z dumy, że zarobili dniówkę i mogą ją dobrze wydać. Tupią, żeby otrzepać robocze buciory ze śniegu, dość obcesowo wzywają kelnerkę, a potem wpatrują się w telefony.

– To tylko dwaj chłopcy – mówi Helen. – Całkiem zwyczajni młodzi ludzie.

Karel śmieje się, wzrusza ramionami, raz jeszcze podnosi się z miejsca.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – mówi. – Wiesz, to z braku snu. Zdawało mi się po prostu... że widziałem kogoś znajomego.

Helen przez chwilę mu się przygląda. Widzi na jego twarzy mieszaninę niepokoju i zakłopotania i czuje, że zaczyna w niej wzbierać ciekawość, jak narastający głód. Wygrywa jednak życzliwość; Helen uznaje, że Karel sam zacznie mówić, gdy będzie gotów, zwraca się więc ku papierom. Tekst jest wykaligrafowany po niemiecku pochyłym pismem, które zapewne równie trudno opanować, jak odczytać; niektóre słowa są przekreślone, przy innych umieszczono przypisy numeryczne – efekt przypomina palimpsest wyciągnięty z muzealnego archiwum, tyle że na stronie tytułowej widnieje rok 2016. Na oddzielnej kartce, przymocowanej do reszty spinaczem, znajduje się maszynopis w języku czeskim opatrzonej datą z poprzedniego tygodnia i adresowany do Karela.

– To nie do mnie – stwierdza Helen i odwraca kartkę. Czuje się niezręcznie, przez co mówi ostrzej, niżby chciała. – Och, nie możesz po prostu powiedzieć, o co chodzi? Zachowujesz się jak dziecko, któremu śni się coś złego. Obudź się wreszcie!

– Chciałbym! Chciałbym! No dobrze. – Karel bierze głęboki wdech, kładzie obie dłonie płasko na papierach i przez chwilę tak trwa bez ruchu. Potem zaś mówi dalej, lekko, swobodnie, jakby jego słowa nie miały nic wspólnego z nurtującą go kwestią. – Powiedz, czy słyszałaś kiedyś imię Melmoth?

– Melmoth? Nie. Zapamiętałabym je chyba. To nie jest czeskie imię, prawda? Melmoth... Angielskie też nie bardzo...

Powtarza je jeszcze raz, i znowu, jakby poczuła na języku nieznamy smak, może nieco gorzki. Jej towarzysz nagle się na to dziwnie ożywia, w jego podkrążonych oczach pojawia się ochoczy błysk.

– Nie, pewnie nie słyszałaś, bo i skąd, mnie samemu jeszcze przed tygodniem nic ono nie mówiło. Tylko tydzień? Tak krótko? – Znow ten udręczony śmiech. – Melmoth, ona...

Karel muska dłońmi papiery w dziwaczny sposób, jak ktoś nerwowo głaszczący nieobliczalnego kota.

– Czy czujesz czasem, że kark ci się jeży, unoszą się na nim włosy, jakby do pokoju wpadł zimny wiatr i wytropił właśnie ciebie, nikogo więcej? Myślisz sobie, że to nic takiego, zwykła gęsia skórka. Jak to się mówi po angielsku? „Gęś ci przeszła po grobie”, tak? Gdybyś jednak wiedziała! – Kręci głową, zapala kolejnego papierosa, zaciąga się głęboko, w końcu go gasi. – To na nic. Nie uwierzysz mi, nie byłoby to zresztą rozsądne, gdybyś uwierzyła. Proszę, zobacz, weź ten list. – Wyciąga spod spinacza stronę maszynopisu. – Zamówię jeszcze coś do picia (Bóg mi świadkiem, że mi się należy) i dam ci chwilę, żebyś to przeczytała. Weź, no już, przecież wy, kobiety, zawsze jesteście wszystkie ciekawe, wiecznie tkwicie z uchem przy drzwiach.

Helen czuje się zawieszona między ciemną tonią a bezpiecznym brzegiem. Przez tyle lat Karel nigdy nie okazywał żadnych lęków ani skłonności do przesądów czy dawania wiary legendom. Zmiana, która w nim nastąpiła, jest nie mniejsza niż przejście od śmiertelności do nieśmiertelności: w jednej chwili Helen uświadamia sobie, jak nigdy dotąd, że on umrze, że śmierć już naznaczyła zarówno jego, jak i te dni,

których jeszcze nie przeżył, zostawiła swój ślad, niczym znak wodny na czystych kartkach papieru. Karel stoi przy barze, pochyla się zgarbiony, co jest tym bardziej niepokojące, że dla niego nietypowe. Helen wspomina, jak wysoki się wcześniej zdawał, jaki był wyprostowany, gdy po raz pierwszy do niej podszedł w bibliotecznej kawiarni, gdzie zabrakło wolnych stolików.

– Można? – spytał po czesku i nawet nie zaczekał na jej reakcję, tylko od razu usiadł i skupił się na analizowaniu niesłychanie skomplikowanego wykresu (przecinające się okręgi, zbiegające się linie) oraz konsumpcji różka z jabłkami.

Jej własna filiżanka kawy, zimnej i gorzkiej, stała obok broszurki tłumaczonej właśnie z niemieckiego na angielski za dziewięć pensów od słowa. Helen myślała sobie później, że wyglądali razem jak paw i wróbel: doktor Karel Pražan w fioletowym kaszmirowym swetrze, Helen Franklin w taniej bezbarwnej koszuli. Z tego spotkania z pewnością niewiele by wynikło, gdyby nie zjawiała się Thea. Helen podniosła wzrok i zobaczyła kobietę średniego wzrostu i w średnim wieku, która stała z dłońmi w kieszeniach wełnianych spodni z szerokimi mankietami i pochylała się, żeby pocałować Karela w czoło. Rude włosy miała krótko przycięte, pachniała wodą kolońską. Weszło zмирzyła Helen wzrokiem.

– O, poznałeś kogoś nowego? – spytała po angielsku, a Helen aż się zarumieniła, bo zabrzmiało to może nie tyle niemilo, ile raczej powątpiewająco.

Karel podniósł wzrok znad notatek i spojrzał na Helen z nieco mglistym zaskoczeniem, jakby przez ostatnie minuty zapomniał o jej obecności, po czym szybko powiedział po czesku, że przeprasza za zakłócenie spokoju i że już sobie idą.

Świadoma własnej chęci zaskoczenia tej eleganckiej pary, Helen odparła po angielsku:

– Proszę się mną nie kłopotać, i tak już miałam wychodzić. – Zaczęła pakować papiery do torby.

Thea się rozpromieniła: na jej twarz wypłynął nagły blask zachwytu, zdradzający jej umiejętność czerpania przyjemności w każdej chwili, z dowolnego źródła, o czym Helen miała się jeszcze przekonać.

– Och, jaki akcent! Aż mi tu na wygnaniu powiało domem! Londyn? Czy może Essex? Proszę, niech pani zostanie i z nami posiedzi, przyniosę jeszcze kawy. Karel, poproś panią, żeby nie odchodziła. Chce sobie pójść, ale ja się nie zgadzam!

Karel i Helen wymienili wymowne spojrzenia – „obawiam się, że wszelki opór tu na nic”, „nie ma sprawy, rozumiem” – co stanowiło znacznie solidniejszą bazę dla przyjaźni niż cokolwiek innego, co przydarzało się Helen przez ostatnie lata.

Rzeczywiście, opór nie miał sensu. W weekend Helen Franklin – unikająca przyjemności i towarzystwa równie wytrwale, jak trapiści unikają rozmów – została ugoszczona w mieszkaniu, gdzie Thea mieszkała w miedzianym rondlu na kuchence, a Karel siedział przy wyszorowanym stole i mierzył krzywiznę wypukłej szklanej tarczy. Jak się okazało, był pracownikiem uniwersyteckim specjalizującym się w historii produkcji szkła, zarówno do użytku domowego, jak i przemysłowego.

– To zwierciadło teleskopu – wyjaśnił, obdarzając Helen niewielkim zainteresowaniem i nie okazując najmniejszej chęci porzucenia bieżącego zadania – powinno być paraboliczne, a nie sferyczne.

Helen zdjęła płaszcz i rękawiczki, po czym podała Thei butelkę wina (którego sama nie zamierzała pić). Później zaś, zachęcona gestem gospodyni, usiadła przy stole i złożyła dłonie na udach.

– Chętnie posłucham – powiedziała.

– Przygotowuję teleskop zwierciadlany – wyjaśnił. – Szlifuję zwierciadło ręcznie, tak jak mógł to robić Newton w tysiąc sześćset sześćdziesiątym ósmym.

Odłożył szklaną tarczę i pokazał dłonie. Skóra wyglądała na szorstką i obolałą, przy paznokciach jaśniały resztki białej pasty.

Thea postawiła na stole chleb i masło. Miała na sobie długi srebrny łańcuszek z osobliwym zielonym wisiorkiem przypominającym kwiat zatopiony w szkłe. Na kuchence prychał miedziany rondel.

– Nigdy go nie skończy.

– Ogniskowa jest równa połowie promienia krzywizny. – Karel spojrzął na Helen, która jak dawniej odczuwała niepoohamowaną przyjemność z pobierania nauk i słuchała z niekłamanym zainteresowaniem, gdy jej objaśniał swój zamiar stworzenia powierzchni zwierciadła poprzez naparowanie warstwy aluminium.

Przez cały wieczór Helen obserwowała gospodarzy. Thea, co najmniej dziesięć lat starsza od Karela, matkowała mu i dogadzała – czasem też go napominała, gdy jej zdaniem przekraczał jakąś granicę („Nie bądź taki wścibski, dziewczyna ma przecież prawo do swoich tajemnic!”). Helen obdarzała ciepłem i troską, choć też niezmiennie odnosiła się do niej z lekkim rozbawieniem, jakby uważała ją za osobę nieco dziwną, w dobrym tego słowa znaczeniu. Od Karela natomiast biła aura starannie pielęgnowanej ironii lub obojętności, która ustępowała głównie wówczas, gdy obserwował Theę, co czynił z wyrazem miłosnej wdzięczności, lub gdy traktował Helen jak uczennicę. Później zrozumiała, że jego myśli nie zaprzęta absolutnie nic poza partnerką i tematem badań – był niczym człowiek, który z tak wielkim upodobaniem pałaszuje ulubione dania, że nigdy nie ma ochoty na nic innego.

Helen – która podziękowała za wino i pozwoliła sobie nałożyć tylko odrobinę mięsa – spytała Theę:

– Też wykładasz na uniwersytecie?

– Jestem już na emeryturze – odparła Thea z uśmiechem, jakby szykowała się na protesty, że przecież z pewnością daleko jej jeszcze do wieku emerytalnego.

– Była w Anglii adwokatką – wyjaśnił Karel, wskazując półki uginające się pod ciężarem prawniczych książek. – Wciąż ma tę swoją perukę z końskiego włosia, tam, w czarnej puszcze. – Po chwili dodał z tak

wielką dumą, jakby mówił o własnych osiągnięciach: – Wiesz, była przewodniczącą komisji w śledztwie publicznym prowadzonym przez brytyjski rząd. Mogła otrzymać tytuł szlachecki, gdyby tylko chciała. – Ujął dłoń Thei i ją pocałował. – Moja uczona przyjaciółka.

Thea zaproponowała Helen ziemniaki z masłem z porcelanowego półmiska. Na jej odmowę nic nie powiedziała – widząc, że nie dojadła tego, co miała na talerzu, a ze szklanki upiła ledwie parę łyków wody.

– Wciąż tylko praca i praca, żadnych przyjemności – powiedziała. – Pojechałam więc na urlop do Pragi, potem ten urlop się wydłużył, aż w końcu przesłam na emeryturę. No i oczywiście pojawił się Karel.

Karel przyjął pocałunek, po czym spojrzał z dezaprobatą na talerz Helen. Najwyraźniej brakowało mu taktu partnerki.

– Nie masz apetytu? – spytał i zaraz dodał: – Muszę powiedzieć, że jesteś dość małomówna.

– Podobno – odparła Helen.

– No dobrze. – Thea odłożyła widelec. – To od jak dawna mieszkasz w Pradze?

– Od dwudziestu lat.

– I czym się zajmujesz?

– Pracuję jako tłumaczka, choć lepiej znam niemiecki od czeskiego.

– Och, to cudownie! Nad czym teraz pracujesz? Friedrich Schiller? Peter Stamm? Może nowe wydanie dzieł Sebalda?

– Instrukcja obsługi urządzeń elektrycznych Bosch. – Helen się wtedy uśmiechnęła i teraz też się uśmiecha, gdy to wspomina.

– Nie będę ukrywać rozczarowania. Ale powiedz, czy miałam rację: jesteś z Londynu lub z Essex?

– Niestety z Essex.

– No cóż, nic na to nie poradzimy. Czyli znalazłaś się w Pradze, bo...?

Helen się zarumieniła. Jak miałyby tej uśmiechniętej, nowo poznanej parze wyjaśnić przyczynę swojego wygnania, kary, którą sama na siebie nałożyła? Thea dostrzegła jej zakłopotanie.

– Wybacz! Wciąż jakoś nie mogę się oduczyć starych metod z sali sądowej.

– Gdyby nasza nowa znajoma znalazła się na ławie oskarżonych, ciekaw jestem, jaki zarzut można by wobec niej wysunąć – powiedział Karel. Spojrzał na Helen sponad kieliszka, po czym napił się wina.

Poczuła przebłysk niechęci do tych dwojga, ich eleganckich ubrań, ciepłego mieszkania, swobody, nieproszonej gościnności, uroku osobistego, namawiania do zwierzeń. Zaraz jednak jej przeszło, bo Thea uciszyła Karela, stanowczo klepiąc go po dłoni, i z pojednawczym uśmiechem zmieniła temat:

– Widzieliście wtedy w bibliotece staruszka płaczącego nad rękopisem? Jak myślicie, co on pisał? Może listy miłosne do kogoś, kto od dawna nie żyje?

Później, pomagając Helen włożyć płaszcz, powiedziała:

– Tak się cieszę, że mogliśmy cię gościć. Przyjdź jeszcze, to pogadamy o Anglii, o tym, czego w niej nie cierpimy, i o tym, jak bardzo chcielibyśmy wrócić.